

KIJEM BEJSBOŁOWYM W KRESOWIAN

Po wielkiej eksplozji zainteresowania dziejami Kresów, jakie nastąpiło po 1989 roku, w ostatnim dwudziestoleciu gwałtownie przybywa różnych utytułowanych demitologizatorów, którzy częstokroć mają problem z ustaleniem, w jakim kościele dzwonią, i blade pojęcie o polityce wschodniej Jerzego Giedroycia, ale za to pełne przekonanie, że „polski żywioł” na Kresach Wschodnich przez całe stulecia kolonizował tamtejszą ludność, zwłaszcza Ukraińców (Rusinów), Białorusinów i Litwinów.

■ POLSKI KOLONIALIZM

Zdaniem demitologizatorów, polska szlachta na Kresach zachowywała się w stosunku do autochtonów nie mniej brutalnie niż Anglosasi w stosunku do Indian w Ameryce Północnej, Hiszpanie i Portugalczycy w Ameryce Środkowej i Południowej, Francuzi w Algierii, Belgowie w Kongo, Holendrzy w Indonezji. „Polski żywioł” – w myśl tej filozofii, którą wyłożył ostatnio szwedzki recenzent polskiej noblistki – tylko eksploatował te ziemie i wyzyskiwał niemiłosiernie ludność, czyniąc z niej niewolników, narzucając im wiarę i język. I właściwie niczego dobrego tam nie zostawił.

Ta retoryka uzyskała najokazalszy wyraz naukowy w opasłych księgach francuskiego historyka Daniela Beauvois, nagradzanego w Polsce ponad wszelką miarę. Pod wpływem tej retoryki oraz różnych mnożących się ostatnio rewizjonistów historycznych, próbujących pisać historię „od nowa”, Katarzyna Wężyk, recenzując ważną, płodną intelektualnie książkę Adama Leszczyńskiego¹, zaszarżowała jak Kozieltulski pod Somosierrą:

Trzeba wreszcie – napisała – wyprowadzić się mentalnie z dworku. Jeśli twoi przodkowie w nim mieszkali, nie bardzo jest się czym chwalić: działający dziś Związek Szlachty Polskiej, nawet jeśli wśród szlachty byli też światli patrioci i reformatorzy, mogłby się właściwie nazywać Związek Potomków Właścicieli Niewolników². A propos tych niewolników: dzwoniło w którymś kościele. Tylko w którym? Istnieje potężna literatura, która wyszła spod piór historyków o niekwestionowanych autorytetach, i warto by ją znać, gdy pisze się z taką pewnością siebie i wydaje takie dyrektywy.

Wybitny znawca tej tematyki Adam Wierciński – drążący ten temat źródłowo od dziesiątków lat i mitygujący autorów szybko piszących, a mało czytających, komentując wypowiedź Katarzyny Wężyk, stwierdził: *Po co się ośmieszać mimo woli? Po co pisać o sprawach za mało poznanych? Dziś niezbyt zorientowani w polskiej historii publicyści wypisują niestworzone rzeczy o „dworku soplicowskim” (...). Trzeba wiedzieć, że ci, którzy mieszkali w dworkach, najczęściej nie mieli poddanych.*

1 A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski. Historia wyzysku i oporu. Mitologia panowania*, Warszawa 2020.

2 K. Wężyk, *Sielski dworek precz*, „Książki. Magazyn do Czytania” nr 5/2020.

Zdarzało się, że włościanie byli zamożniejsi od szlachty zagonowej. W większości dworów nie było wielu pomieszczeń. Nie było też podziału na część pańską i czeladną. Dworek to nieco większy dom wiejski, gontem czy słomą kryty, z gankiem i sienią na przestrzał, z kilkoma pokojami i alkierzem. A ci, o których z taką niechęcią pisze Katarzyna Wężyk, mieszkali we dworach i pałacach. Jak to było u Mickiewicza? Horeszkowie z zamku, Soplicowie z dworu, a Dobrzyńscy z dworów. Wypadałoby znać książki Janusza Tazbira, Jaremy Maciszewskiego, Jerzego Jedlickiego, Andrzeja Wyczańskiego i Andrzeja Zajączkowskiego, że o studiach Aleksandra Brücknera, Władysława Łozińskiego, Jana Stanisława Bystronia czy Zygmunta Glogera nie wspomnę. (...) W dawnej Polsce gęsto było od dworów, rzadsze były dwory i pańskie rezydencje. Po dworach siedzieli właściciele folwarków, w pałacach magnaci i zamożniejsza szlachta („półtora szlachty”), a w dworku mieszkała drobna szlachta, lud herbowy, demos szlachecki rozstawiony przez Mickiewicza, Syrokomłę i Orzeszkową. Ci z dworów poddanych mieli rzadko³. Często sami pracowali na swej roli.

Jeden z najwybitniejszych znawców dziejów kultury szlacheckiej w Polsce Andrzej Zajączkowski w perfekcyjny sposób opisał rozwarstwienie, jakie panowało wśród stanu szlacheckiego. Szlachta – pisał – była wewnątrznie zróżnicowana klasowo, a zróżnicowanie to faktycznie niweczyło jedność stanu. Zróżnicowanie klasowe szlachty występowało także w innych krajach, ale na miarę wypadków indywidualnych; w Polsce miało ono cechę masowości. Cała szlachta tworzyła piramidę, u której szczytu figurowało tylko paręnaście rodzin magnackich, bardzo bogatych, a u podstawy – tłumy szlachty zagonowej. Szlachta folwarczna zajmowała drugie co do liczby miejsce po szlacie zagonowej, a różne rodzaje szlachty bezrolnej mieściły się na różnych poziomach piramidy, między jej szczytem a podstawą. Była to struktura unikatowa w skali europejskiej (Elity urodzenia, Warszawa 1993). Nie można wrzucać do jednego worka karmazynów i szaraczków.

Nie można mylić mieszkańców pałaców, których było niewiele, z właścicielami dworów pozbawionymi chłopskiej służby, których było dziesiątki tysięcy. To tak, jak byśmy próbowali w jednej warstwie społecznej umieścić miliardera Trumpa z właścicielem sklepiu w Minnesocie.

Oczywiście, można kpić – i czasem słuszenie – z tworzonych obecnie związków szlachty polskiej, w których przeważają nuworysze, mający tyle wspólnego ze szlachtą, ile bohater Molierowskiego *Mieszczanina szlachcicem*. Część powojennej inteligencji polskiej, wywodzącej się przynajmniej w 80 proc. z klasy chłopskiej i robotniczej, w III Rzeczypospolitej zaczęło się wstydić swych korzeni i jak ci fornale z opowieści Andrzeja Mencwela zaczęło głosić, że są spadkobiercami Kmiciców, Wołodyjowskich i Korczyńskich, a nie potomkami anonimowych kmieci. Wielu z nich korzysta z prac różnych domorosłych twórców drzew genealogicznych i na tej podstawie twierdzi, że ich przodkowie nosili herby i walczyli już pod Grunwaldem czy Chocimiem. Na ich palcach widnieją „rodowe sygnety”. Ale ta „szlachta” niewiele ma wspólnego z Kresami i z „posiadaniem – jak pisze Katarzyna Wężyk – własnych niewolników”.

Do powyższego dyskursu wprowadzono ostatnio również twórczość Olgi Tokarczuk i chcąc nie chcąc, ośmieszono laureatkę Nagrody Nobla. „Księgi Jakubowe” – napisał Piotr Kofta – wywołały gwałtowny spór o dzieje Kresów Rzeczypospolitej. Tokarczuk podważyła Sienkiewiczowską kresową idyllę, zastępując ją wizją świata niewolniczego, skolonizowanego przez polskich panów („Dziennik Gazeta Prawna” nr 198/2019). Kresowa idylla u Sienkiewicza? – zripostował tę wypowiedź Adam Wierciński. – Wolne żarty. Tylko naiwny czytelnik w młodym wieku, śledzący z wypiekami na twarzy losy bohaterów powieściowych może tak myśleć. Idylla? Pisał przecież Sienkiewicz o Ukrainie XVII wieku: Nieszczęsny kraj!... Gdy bunt w nim wybuchł, pokarał go naprzód i spustoszył pan Mikołaj Potocki, potem Zaporozcy i Tatarzy, którzy niby dla oswobodzenia go przyszli, a zaraz zawisł nad nim Jeremi

3 A. Wierciński, *Za szybkie pisanie* (63), „Indeks – Pismo Uniwersytetu Opolskiego” nr 1-2/2021.

Wiśniowiecki. Od kompetencji czytelniczych odbiór dzieła zależy. Maria Dąbrowska zanotowała w listopadzie 1938 roku: Po obiedzie czytam Trylogię, a właściwie Ogniem i mieczem. Jakim sposobem ta pośpna wizja Polski mogła służyć „ku pokrzepieniu serc”, trudno mi dziś zrozumieć. Chyba tylko ku ostrzeżeniu serc mogła służyć. Beznadziejnego to czasu obraz i Sienkiewicz nie był bynajmniej poczucia tej beznadziejności pozbawiony. Wcale nie był tak „wsteczny” ani tak głupi politycznie, jak o nim gadano. Sprawiedliwie też obdzielił zbrodniami i urokami obie strony – polską i ukraińską. Artyzm genialny i nic się nie starzeje. A ten świat niewolniczy, skolonizowany przez polskich panów brzmi jak cytat z sowieckich podręczników z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Skomplikowane były stosunki społeczne i etniczne na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Czasem ten świat był kolonizowany przez ruskich panów. „Polski pan” bywał często spolszczonym kulturalnie kniazem czy bojarem ruskim, „niepolski chłop” – zrutynizowanym zbiegiem znad Wisły, a czasem i schłopiałym drobnym szlachcicem z Mazowsza czy Podlasia. Polszczyl się tam ruski bojarzyn i rutenizował polski włościanin⁴. A do tego dochodził jeszcze problem licznych małżeństw mieszanych, w których dochodziło do rozmywania narodowości. Rzeczpospolita była państwem etnicznie wielonarodowościowym, podobnie jak później Austro-Węgry, zwłaszcza w Galicji, na Zakarpaciu.

Warto tę kwestię dobitniej zobrazować wypowiedzią znakomitego historyka Jerzego Łojka, który napisał: Jak pijany płota, uczepiliśmy się doktryny państwa polskiego nie tylko współcześnie, ale i w historycznej przeszłości jednolitego narodu. A prawdą jest, że przez kilkaset lat państwo takie w ogóle nie istniało, istniało natomiast wspólne państwo wielu narodów, rzecz jasna – państwo pełne niekonsekwencji i niesprawiedliwości (które z państw Europy wieku XV, XVI, XVII, XVIII wolne było od politycznej i społecznej niesprawiedliwości? (Wokół sporów i polemik. Szkice historyczne, Lublin 1991).

Rafał Ziemkiewicz – znany publicysta i prozaik, który, niestety, w prezentowaniu swych poglądów i w polemikach używa, nie wiedząc czemu, częstokroć obelg pod adresem inaczej myślących, przez co ogranicza recepcję swoich wypowiedzi, robiąc przy tym sobie i innym krzywdę, ma jednak wiele racji, gdy kwestionuje istnienie „polskiego kolonializmu”. Pokażcie mi – pisze – choćby jeden jedyny ród wywodzący się z miejscowych kacyków czy wodzów z Afryki, Ameryki Południowej albo Indii, jakichś książąt Negombo czy Qutipuitzililiputli, który w dziejach dowolnej z kolonialnych potęg odegrałby rolę porównywalną jak w dziejach polskich Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Chodkiewiczowie czy Ostrogscy. Którego przedstawiciele piastowaliby najwyższe brytyjskie, francuskie albo hiszpańskie urzędy, prowadzili do boju jako naczelni wodzowie wojska imperium, doradzali królom, zrzucałi ich z tronu i sami na tronie zasiadali. No – śmiało. Jedno jedyne nazwisko!

Nie ma takiego, prawda? Dlaczego jedyną odpowiedzią na moje proste pytanie ze strony fałszerzy historii wrabiających nas w „polski kolonializm” może być udawanie, że tego pytania nie ma?⁵.

Przemysław Czapliński, pisząc o *Księgach Jakubowych* Olgi Tokarczuk, stwierdził, że w tej powieści zawarta jest wielka antysienkiewiczowska koncepcja. Trudno nie zgodzić się z Adamem Wiercińskim, który w eseju *Sienkiewicz pośpiesznie czytany* zareplikował: *Gdzie tam grubej powieści Tokarczuk do Sienkiewicza? Po co ośmieszać takimi zestawieniami zdolną pisarkę z całkiem innej parafii artystycznej. Jeszcze jej powieści Sienkiewiczowi nie zagrażają* („Pamiętnik Literacki”, Londyn 2018, t. LV). Sądzę, że i w przyszłości nie zagrażą. Co to jest w ogóle za problem? Próby przeciwstawienia Sienkiewicza Tokarczuk to schizofrenia. W polskiej kulturze jest miejsce i dla Sienkiewicza, i dla Tokarczuk. Dlaczego mają się wzajemnie wykluczać czy rugować?

4 A. Wierciński, *Za szybkie pisanie* (58), „Indeks – Pismo Uniwersytetu Opolskiego”, nr 9-10/2019.

5 R. Ziemkiewicz, *Cham niezbuntowany. Rzecz o polskim mentalu*, Lublin-Warszawa 2020.

■ KULT FAKTÓW A POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA

Moda na tego typu karkołomne przeciwstawienia jest – w moim odczuciu – chwilowa. Wiąże się z obowiązującą w Polsce (wzorem Zachodu) poprawnością polityczną, która na pstrym koniu jeździ i za jakiś czas może zmienić kierunek ideologiczny. Będą burzone inne pomniki i propagowane „nowe wartości”, bo jak niegdyś śpiewał Bułat Okudźawa: *Każda epoka ma własny porządek i ład, a nad naszym zwycięstwem niejednym górują cokoły, na których nie stoi już nikt* (przeł. Witold Dąbrowski). Jako historyka obowiązuje mnie kult faktów, dlatego bronię prawdy o Kresach i Kresowianach. W moim – liczącym już piętnaście tomów – cyklu *Kresowa Atlantyda* (por. Magdalena Bajer o tym cyklu w numerze 1/2021 „Odry”) jest wiele wątków, a wśród nich jest też problem obrony dziejów polactwa na Kresach przed częstokroć prostackimi pomówieniami i interpretacjami. Staram się udokumentować, że myśl społeczna, praktyka polityczna i wielopokoleniowa ciężka praca obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów – tych z najwyższych sfer i tych z nizin społecznych – wniosła tam ponadczasowe wartości gospodarcze, kulturowe i edukacyjne, których nie da się spostonować.

W moim cyklu staram się też ukazać, że przez długi czas po upadku i rozbiorach Rzeczypospolitej, gdy państwo polskie na Kresach nie istniało, a polskość metodycznie była tam niszczone przez zaborców rosyjskich i austriackich, majątki polskie konfiskowane, a ich właściciele trafiali do więzień bądź na Sybir, żywioł polski bronił się częstokroć w beznadziejnych sytuacjach i trwał, zostawiając wyraziste ślady swej obecności w kulturze materialnej, w życiu gospodarczym, w literaturze, w obyczajowości. I nie można wymazać z historii Polski tamtych osiągnięć. Wyrugować z pamięci historycznej całych kompleksów zabytków materialnych, które w czasach licznych wojen i najazdów zostały unicestwione, starte z powierzchni ziemi, i – poza starymi rycinami, a niekiedy fotografiami – nie zostało po nich śladu.

Staram się przede wszystkim o to, aby tych śladów nie pokrył mrok totalnego zapomnienia. Aby nie zostało wrażenie, że na

Kresach poza większymi miastami istniały tylko pałace, a obok nich kurne chaty i szalejący, niewolniczy wyzysk. Te fotografie, które wydobywam z rodzinnych archiwów, pokazują, że w wielu miejscach, gdzie dziś został tylko zarys fundamentów, były piękne zabudowania – jak na przykład w Wełdzirzu baronowej Walentyny Mazaraki-Miltitz, polsko-węgiersko-niemieckiej dziedziczki, która pracujących w jej dobrach nie traktowała jak niewolników, prowadziła imponującą działalność charytatywną i edukacyjną (co nie znaczy, że tak postępowali wszyscy).

Wyrażam ciągle przekonanie, że historia Polski bez Kresów – bez Wilna, Grodna, Krzemieńca, Lwowa czy Stanisławowa, ale też małych kresowych wsi i przysiółków – będzie kaleka i zafałszowana. To tak, jakby wycięto nam jedną półkulę mózgową.

■ PRYMITYWNI KRESOWIANIE

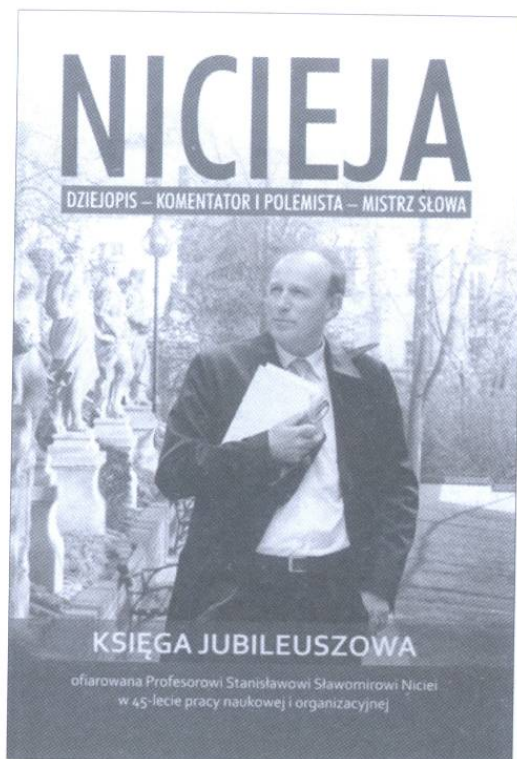
Jest też druga strona oceny przeszłości Kresowian – ta sugerowana przez różnych demitologizatorów i piszących historię „od nowa”. Twierdzą oni, że gdy żywioł polski został decyzjami administracyjnymi usunięty z Kresów i przesiedlony na tzw. ziemie odzyskane, czyli ponemieckie, to okazał się dla tych nowych polskich nabytków terytorialnych również niszczycielski, co miało być wynikiem niezwykle niskiej kultury repatriantów, „przepaści cywilizacyjnej”, ich zapóźnienia i wręcz prymitywizmu w stosunku do Niemców usuniętych z tych ziem. Masa przesiedleńcza – według części badaczy – przypominała jakąś bezmyślną tłuszcę, która na ziemiach uzyskanych przez Polskę w wyniku decyzji jałtańsko-poczdamskich z upodobaniem unicestwiała tamtejszy dorobek cywilizacyjny i zabytki, złomowała nawet narzędzia rolnicze i niszczyła kanalizację, bo nie wiedziała, do czego te urządzenia służą. Dotykamy tu pewnej paranoi myślowej: jak to? Tam, na Kresach, byli kolonizatorami wyzyskującymi inne ludy, a tu, na zachodzie, stali się prymitywną tłuszcą, którą trzeba było cywilizować?

Zdzisław Mach – socjolog, antropolog, europeista, laureat wielu prestiżowych wyróżnień, *visiting professor* na dziesięciu zachod-

nioeuropejskich i amerykańskich uniwersytetach – ogłosił przed dwudziestoma trzema laty swoje naukowe odkrycie, o którym co pewien czas przypomina w wywiadach prasowych. Z jego badań wynikało, że po wojnie Polacy, a właściwie polscy komuniści, zrobili wielki błąd, gdyż wysiedlili z ziem zachodnich niemieckich bauerów. Gdyby ich zostawiono, to tych przesiedleńców ze wschodu mogliby nauczyć, jak się korzysta z poniemieckich maszyn rolniczych, czym się nawozi ziemię i że nawozić ją warto. Nauczyliby ich też, do czego służy kanalizacja. A tak, to ci – jak to wynika z ustaleń Macha – zacofani, prymitywni przesiedleńcy poniszczyliby to wszystko, z kanalizacją włącznie.

Zdzisław Mach pisze też o „niechcianych miastach”. Taki efektowny tytuł dał swej książce wydanej w Krakowie w 1998 roku. Pomyśleć, że Polacy mogli nie chcieć Wrocławia, Legnicy czy Świdnicy. Bardzo oryginalna hipoteza i wcale nienowa, bo jednym z pierwszych jej głosicieli był Tomasz Arciszewski – premier polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, który 17 grudnia 1944 na łamach jednego z najbardziej prestiżowych pism brytyjskich „The Sunday Times” udzielił wywiadu, stwierdzając: *Nie chcemy rozszerzać naszej granicy na zachód tak, by wchłonęła 7-10 milionów Niemców. Nie chcemy Wrocławia i Szczecina.* Uważał, że ten niechciany dar wciska nam Stalin, a dystansują się od niego Churchill i Roosevelt. Później z tej niefortunnej wypowiedzi wycofywał się ustami swego rzecznika prasowego Tadeusza Zabłockiego, mówiąc, że „został źle zrozumiany”. Z dużym opóźnieniem zorientował się, że z wojny Polska mogła wyjść bez Lwowa i Wilna, ale też bez Wrocławia i Szczecina, mając zatem wielkość Księstwa Warszawskiego. Byłoby to kadłubowe państewko, sąsiadujące z dwa razy większą NRD. Wypowiedź Arciszewskiego ośmieszył nawet najwybitniejszy emigracyjny historyk Władysław Pobóg-Malinowski⁶.

Zdzisław Mach użył tytułu *Niechciane miasta* w wyniku swoich badań prowadzo-



nych w Lubomierzu⁷ na Dolnym Śląsku – tym miasteczku słynnym z filmu *Sami swoi*, które stało się symboliczne i kultowe dla dziejów polskich przesiedleń z Kresów. W przeciwieństwie do Sylwestra Chęcińskiego, Andrzeja Mularczyka czy Kazimierza Kutza (film *Krzyż Walecznych*) przedstawił to miasteczko jako krańcowo wyniszczone przez repatriantów i wręcz „wymarłe”.

Oczywiście, takie ustalenia wpisują się również w retorykę tych opowieści od trzy-

⁷ Z. Mach, *Niechciane miasta*, Kraków 1998. Swoje ustalenia Zdzisław Mach zreferował i sprecyzował w dwóch wywiadach udzielonych Mirosławowi Maciorowskiemu: *Kresowe życie na walizkach*, „Gazeta Wyborcza”, 24-26 XII 2010; i *Repatriacje to była klęska*, „Gazeta Wyborcza”, 26 IX 2020. W wywiadach tych znajdujemy następujące stwierdzenia: *Deportacja Niemców z Dolnego Śląska była błędem. Gdyby zostali, nauczyliby przybyszów, do czego służy kanalizacja i maszyny rolnicze. Polscy wypędzeni z Kresów Wschodnich szybciej odtworzyliby swoją tożsamość.* A na pytanie Mirosława Maciorowskiego: *Dlaczego przesiedleńcy z takim zapalem niszczyli poniemieckie budynki, sprzęty i maszyny?* prof. Mach odpowiedział: *Dla przesiedleńców cenne były te rzeczy, które przywieźli z utraconego domu, ze wschodu. Tego, co dostali na zachodzie, ani nie cenili, ani nie rozumieli. I jeszcze były to przedmioty wroga. Niszcząc je, mścili się na Niemcach.* Warto przypomnieć profesorowi socjologii, że tysiące Kresowian, uciekając przed banderowcami, nie wzięło ze sobą nic oprócz tego, co mieli na sobie, a żołnierze-kresowiaczy z armii Berlinga czy Andersa, którzy wrócili do Polski, cały swój dobytek przywieźli w plecaku.

⁶ Zob. szerzej: St. S. Nicieja, *Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza*, Opole 1993.

Stanisław Sławomir Nicieja
Kresowa Atlantyda
HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH

Tom V



dziesięciu lat, że wszystko w PRL-u było „brudne”, „szare”, „ponure” i „byłe jakie”. Tak wypowiedział się w telewizji inny profesor socjologii Piotr Glišński – minister kultury, dodając przy tym, że peerelowska szkoła koncentrowała się na uczeniu różnych bzdur.

Niestety, poza moją wyobraźnią jest „wizja naukowa” Zdzisława Macha, że po tak straszliwych doświadczeniach wojennych mogliby obok siebie współistnieć, a nawet pobierać nauki od Niemców polscy repatrianci i ekspatrianci ze wschodu. Mego ojca, żołnierza września 1939 roku, przez ponad cztery lata niemiecki bauer na robotach przymusowych pod Wiedniem uczył *sprzątać stajnię, oporządkować konie i wyrzucać obornik*. Moją mamę, ujętą w łapance na wadowickiej ulicy, inny niemiecki bauer uczył *(co prawda tylko przez półtora roku) sztuki dojenia krów w jego gospodarstwie pod Berlinem*. Moi rodzice, gdy odzyskali wolność, osiedli po wojnie w ponemieckim miasteczku Striegau na Dolnym Śląsku i gdyby dalej mieli być tam „uczeni” przez niemieckich bauerów na gospodarstwie otrzymanym od urzędu repatriacyjnego, to nie wiem, czy dziś pisałbym

po polsku. Nie wiem też, czy Strzegom nie nazywałby się dziś Striegau. Nie wiem też, czy Wrocław, w którym polskich uczonych (tych, którzy przeżyli niemiecki mord na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie) przyuczaliby niemieccy uczeni z Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma, nie nazywałby się obecnie Breslau?

Przez lata, tu, na Śląsku, gdzie mieszkam i pracuję, wmawiano wielu Kresowianom, że w stosunku do kultury niemieckiej są zapóźnionymi pariasami. Nazywano ich pogardliwie hadzajami i zabugolami, i wielu z nich wpędzono w kompleksy. Wstydzieli się, że są „zza Buga”, bo brzmiało to częstokroć jak obelga. Ukrywali, skąd pochodzą. Starali się jak najszybciej stracić wschodni akcent.

À propos tej wysokiej kultury materialnej, która podobno była w czasach niemieckich we wszystkich śląskich wsiach, to pragnę poinformować badacza dziejów Lubomierza, że na przedmieściach Strzegomia, gdzie się urodziłem i wychowałem, kanalizację założono dopiero za Edwarda Gierka, a w Pępicach pod Brzegiem, gdzie mam dom i piszę książki, zrobiono to dopiero za Donalda Tuska.

■ ZA CZYM TĘSKNICIE?

Nie zapomnę spotkania autorskiego przed kilku laty, w Bibliotece „Pod Arkadami” na wałbrzyskim Rynku, po którym podeszła do mnie starsza pani, mówiąc: Dziękuję za tom *Kresowej Atlantydy* o Truskawcu i Drohobyczu. Bo tu, przez lata, od reemigrantów z Francji, którzy w licznej grupie osiedli w Wałbrzychu, często słyszałam: Za czym wy tęsknicie? Za tym dziadostwem, które zostawiliście na wschodzie? Za tymi kurnymi chatami i polskimi drogami, na których można się było utopić w błocie? U nas, tam, w Lotaryngii czy Burgundii, była przynajmniej „Francja-elegancja”. A teraz mogą takiemu „wyniosłemu Francuzowi” pokazać pańską książkę z fotografiami i opisem pięknych, utopionych w ogrodach pensjonatów w Truskawcu i okazałych kamienic mieszczkańskich w Drohobyczu. Mogę powiedzieć temu Francuzowi: „Popatrz, za tym tęsknię i to mam w pamięci”. Pomyślałem wówczas,

że choćby dla tej jednej rozmowy warto było zgromadzić te unikatowe truskawiecko-drohobyckie fotografie i opisać historie ich właścicieli z tamtego zatopionego niczym mityczna Atlantyda świata, pokazać twarze ludzi, którzy tam żyli i pracowali. Niewiele wspólnego z prawdą ma wmawianie w aureoli naukowości, że przesiedleńcy z Kresów masowo niszczyli poniemieckie budynki, sprzęty i maszyny. Prawdą jest natomiast, że gdy przyjechali na Śląsk, to częstokroć te poniemieckie gospodarstwa były już wyszabrowane przez tych, którzy byli tam przed nimi i wywieźli, co się dało gdzieś pod Poznań, Częstochowę, Sosnowiec, Będzin, Kraków czy do Warszawy. Szabrownictwo w pierwszych latach powojennych było powszechne. Znakomicie to obrazuje film *Prawo i pięść* Jerzego Hoffmana według scenariusza Józefa Hena. Bardzo to wstydlivy temat, nie tylko w kinematografii potraktowany marginalnie. Wielu Kresowian wchodziło do zupełnie ogołoconych domów i gospodarstw, z których wywieziono meble i sprzęty, sprzedawane później na targowiskach oraz w sklepach Desy w tzw. centralnej Polsce i do dziś zdobiące salony domów w całym kraju.

Z wielu powojennych miasteczek dolnośląskich zrobiono po wojnie wprost cegielnie: uszkodzone przez wojnę budynki rozbierano na cegłę i wywożono m.in. na odbudowę zniszczonej Warszawy. Mój ojciec był zapr zęgnięty do wywozu cegieł ze strzegomskiego Rynku, gdzie rozebrano dwie zabytkowe pierzeje, aby odbudować warszawską „zabytkową Starówkę”, wpisaną później na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Z cegieł strzegomskich wzniesiono wiele budynków na warszawskim Muranowie. To nie repatrianci zrabowali zabytki z dolnośląskich kościołów i muzeów, bo gdzie mieli je wywozić – za Bug i San? Oni, jeżeli mieli możliwość, przywieźli swoje obrazy, gdzieś spod Buczacza, Kołomyi czy Stryja. Wiele rzeźb sakralnych i obrazów wielkiej wartości pochodzących z dolnośląskich świątyń jest obecnie własnością Muzeum Narodowego w Warszawie, można je także spotkać w muzeach w całej

Polsce. I nie wywieźli ich tam „prymitywni Kresowianie”.

W kilkunastu tomach *Kresowej Atlantydy* przywołałem kilka tysięcy nazwisk, przesiedleńców z Kresów, przybyłych ze Złoczowa, Krzemieńca, Stanisławowa, Grodna, Łucka czy Drohobycza, że nie wspomnę o Wilnie i Lwowie. Byli wśród nich nauczyciele, którzy stali się rdzeniem kadry pedagogicznej w szkolnictwie dolnośląskim czy pomorskim. Kresowianie byli dyrektorami szkół wszystkich szczebli, do uniwersyteckich katedr włącznie. W moim świdnickim liceum niemal wszyscy profesorowie pochodzili z Kresów, tylko niektórzy gdzieś z Wielkopolski czy z krakowskiego. Podobnie było z kadrą inżynierską w zakładach pracy, takich jak choćby dzierzoniowska „Diora” oraz bielawski „Bielbaw” czy „Bieltex”. Na Śląsku Opolskim, gdzie została bardzo liczna populacja autochtonów (ponad pół miliona), miejscowa inteligencja stanowiła śladowy procent. Licea i humanistyczne kierunki uniwersyteckie kończyły niemal wyłącznie dzieci Kresowian i repatriantów z Małopolski, Kielecczyny czy Jury Krakowsko-Częstochowskiej. To jest temat dotychczas tylko zamarkowany przez socjologów. A więc ostrożnie z tym zacofaniem ludzi „zza Buga”.

Stanisław Sławomir Nicieja